

„Zdarzało się, że musiałem wieczorem parkować za najbliższą przecznicą albo nawet i dalej, bo przed domem nie było miejsca. Tym razem jednak miałem szczęście: postawiłem swojego rżęcha zaledwie kilka kroków od naszych drzwi wejściowych, podczas gdy w radio Sly rozpoczynał Hot Fun in the Summertime. Było późno i powinienem już iść spać, ale chwila wydawała się zbyt cenna, by ją stracić, więc zostałem w samochodzie, żeby jeszcze trochę posłuchać muzyki. Gdy tylko kończył się kolejny kawałek, chciałem wysiadać, lecz zaraz rozpoczynała się następna piosenka, której musiałem wysłuchać, toteż wciąż nie mogłem się zebrać. Śpiewałem właśnie na głos Stand!, porywający hymn z niesamowitym zakończeniem w stylu gospel, gdy zauważyłem migające, niebieskie światło zbliżającego się radiowozu. Siedziałem w samochodzie spokojnie zaparkowanym pod drzwiami własnego mieszkania, więc pomyślałem, że policjanci przejadą obok, podążając gdzieś w jakiejś pilnej, służbowej sprawie. Gdy zatrzymali się parę metrów przede mną, zacząłem się zastanawiać, o co chodzi.

Nasza ulica była jednokierunkowa. Samochód zaparkowałem we właściwą stronę. To radiowóz wjechał pod prąd. Zauważyłem, że nie było to zwykłe auto patrolowe, lecz jeden z pojazdów specjalnych SWAT. Na dachu samochód miał zamontowany reflektor szperacz i właśnie jego światło funkcjonariusze skierowali wprost na mnie. Gdy to zrobili, przeszło mi przez myśl, że może właśnie mnie szukają, chociaż nie miałem pojęcia dlaczego. Siedziałem w prawidłowo zaparkowanym samochodzie od piętnastu minut i po prostu słuchałem piosenek Sly. Tylko jeden z głośników mojego radia działał, w dodatku nie najlepiej. Byłem pewny, że muzyki nie było słychać na zewnątrz.

Funkcjonariusze siedzieli w aucie z reflektorem wycelowanym w moją stronę przez dobrą minutę albo i dłużej. Wyłączyłem radio, nie dosłuchawszy Stand! do końca. Na siedzeniu obok mnie leżały dokumenty dotyczące spraw Ruffina i chłopaka zastrzelonego w Gadsden. Wreszcie dwóch funkcjonariuszy wysiadło z radiowozu. Od razu spostrzegłem, że nie nosili zwykłych mundurów policjantów z Atlanty. Byli ubrani raczej po wojskowemu – w czarne spodnie, czarne koszule i czarne buty.

Postanowiłem wysiąść z samochodu i iść do domu. Chociaż wpatrywali się we mnie uporczywie, wciąż miałem nadzieję, że kręcą się w tej okolicy z powodu, który nie ma ze mną nic wspólnego. A jeśli zaniepokoił się, że coś ze mną nie tak, to zaraz im powiem, że nie ma problemu i wszystko w porządku. Nie przyszło mi do głowy, że wyjście z samochodu okaże się czymś złym czy niebezpiecznym.

Gdy tylko otworzyłem drzwi auta i wysiadłem, funkcjonariusz, który ruszył w moim kierunku, wyciągnął broń i wycelował wprost we mnie. Musiałem wyglądać na kompletnie oślepiałego.

Moim pierwszym odruchem była ucieczka. Szybko jednak uświadomiłem sobie, że to niezbyt mądre. Potem przemknęło mi przez myśl, że to może nie są wcale prawdziwi policjanci.

– Rusz się, a rozwalę ci łeb! – wrzasnął mundurowy. Usłyszałem słowa, lecz nie mogłem pojąć ich znaczenia. Próbowałem zachować zimną krew, ale po raz pierwszy w życiu byłem na czyjejs muszce.

– Ręce do góry! – Funkcjonariusz był białym facetem mniej więcej mojego wzrostu. W ciemności widziałem tylko zarys jego sylwetki w czarnym mundurze i wymierzoną we mnie broń.

Uniosłem ręce i zauważyłem, że człowiek sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Nie pamiętam żadnej świadomej decyzji, a tylko słowa, które zdołałem z siebie wydobyć:

– Ok, w porządku. – Bez wątpienia brzmiał w nich strach, bo rzeczywiście byłem przerażony. Powtarzałem w kółko to samo:

– Ok, w porządku. Ok, w porządku.

Wreszcie zdobyłem się na trochę więcej:

– Mieszkam tu, tutaj jest moje mieszkanie.

Spojrzałem na policjanta, który celował w moją głowę z odległości nie większej niż jakieś cztery metry. Pomyślałem, że widzę, jak trzęsą mu się ręce.

Nie przestawałem powtarzać najspokojniej, jak potrafiłem:

– Ok, w porządku. Ok, w porządku.

Drugi z funkcjonariuszy, z bronią wciąż w kaburze, zaczął powoli, ostrożnie iść w moją stronę. Zboczył na chodnik, okrążył mój samochód i podszedł do mnie od tyłu, podczas gdy jego kolega nie przestawał trzymać mnie na muszce. Nagle złapał mnie za ręce i pchnął na klapę bagażnika. Jego kolega obniżył lufę na wysokość mojej głowy.

– Co tu robisz? – spytał ten drugi. Wydawał się starszy od faceta, który do mnie mierzył. W jego głosie słychać było złość.

– Mieszkam tu. Wprowadziłem się do tego, o tam, domu parę miesięcy temu. Mój współlokator jest w mieszkaniu. Możecie go zapytać. – Nienawidziłem się za strach, którego nie mogłem ukryć, i za drżenie własnego głosu.

– Co tu robisz na ulicy?

– Po prostu słuchałem radia.

Rozstawił mi ręce i rozpląszczył całego na karoserii. Reflektor z dachu radiowozu wciąż był we mnie wycelowany. Zauważyłem, że w oknach dokoła zaczęły zapalać się światła, a przez niektóre drzwi ludzie wychylali się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Z sąsiedniego domu wyszła para w średnim wieku – biała mężczyzna i biała kobieta – i przyglądała się, jak leżałem rozpostarty na własnym samochodzie.

Funkcjonariusz, który mnie obezwładnił, zażądał ode mnie prawa jazdy, ale nie pozwolił mi się ruszyć, żebym mógł po nie sięgnąć. Powiedziałem, że mam je w tylnej kieszeni spodni. Sprawnie wyciągnął stamtąd mój portfel. Drugi z policjantów stał teraz nachylony w drzwiach mojego samochodu i przeglądał dokumenty leżące na siedzeniu. Wiedziałem, że nie ma żadnego powodu, by przeszukiwać mi samochód, a więc że robi to bezprawnie. Już miałem coś powiedzieć, gdy zobaczyłem, że zagląda do schowka przy siedzeniu pasażera. Było to tak oczywiste naruszenie prawa, że – zdałem sobie jasno sprawę – najwyraźniej facet miał gdzieś wszelkie przepisy i zwracanie mu na to uwagi byłoby zwykłą stratą czasu.

Nie znalazł nic interesującego w moim aucie. Nie było tam ani narkotyków, ani alkoholu, ani nawet papierosów. W przednim schowku woziłem tylko wielką pakę M&M-sów i gumę do żucia marki Bazooka, by mieć czym oszukać głód, gdy nie miałem czasu na normalny posiłek. W paczce M&M-sów zostało już tylko kilka orzeszków, czego policjant nie omieszkał dokładnie sprawdzić, wsadzając nos do środka. Odłożył paczkę na miejsce, a ja pomyślałem, że już jej nie tknę.

Nie mieszkalem w nowym miejscu na tyle długo, by zdążyć zmienić adres w prawie jazdy. Tak więc adres się nie zgadzał. Nie istniał żaden prawny obowiązek aktualizowania adresu w prawie jazdy, jednak ta rozbieżność dała policjantom pretekst, by zatrzymać mnie na następne dziesięć minut. Jeden z nich poszedł do radiowozu, by sprawdzić mnie w bazie danych. W miarę jak scena przy samochodzie się przeciągała, sąsiedzi coraz odważniej wyglądali z okolicznych domów, mimo że było

już bardzo późno. Słyszałem, jak rozmawiają o rozmaitych włamaniach w naszej dzielnicy. Pewna biała kobieta zaczęła się wręcz głośno domagać, żeby przeszukano mnie i sprawdzono, czy nie mam rzeczy, które jej zginęły.

– Zapytajcie go o moje radio i odkurzacz! – nalegała.

Inna chciała wiedzieć, czy nie ukradłem jej kota, którego nie ma już od trzech dni. (...) W końcu policjant wrócił z moim prawem jazdy i rzucił do kolegi z nutą zawodu w głosie:

– Nic na niego nie mają.

Opanowałem nerwy i cofnąłem ręce z bagażnika samochodu.

– Tyle zamieszania. A przecież ja tu naprawdę mieszkam. Nie powinni byli panowie tego robić. Po co to wszystko?

Straszy policjant zmarszczył brwi.

– Mieliśmy telefon w sprawie osoby podejrzanej o włamanie. W tej okolicy zdarza się dużo takich przestępstw.

Po czym uśmiechnął się szeroko i dodał:

– Puścimy cię wolno. Powinieneś być zadowolony.

Po chwili wsiedli obaj do radiowozu i odjechali.

Sąsiedzi, zlustrowawszy mnie po raz ostatni wzrokiem, zaczęli rozchodzić się do domów. Nie wiedziałem, czy mam od razu pobiec do siebie, żeby udowodnić im, że faktycznie tu mieszkam, czy raczej poczekać, aż się wszyscy rozejdą, by nikt się nie dowiedział, gdzie dokładnie kwateruje ów „podejrzany o włamanie”. Wybrałem to drugie.

Zgarnąłem moje papiery rozrzucone przez policjanta po całym samochodzie i na chodniku. Z żalem cisnąłem resztkę M&M-sów do ulicznego kosza na śmieci i poszedłem do mieszkania.”